

## Podstawowy dylemat politologii III (2014)

Czy podstawowy dylemat politologii, czyli problem odróżnienia wiedzy naukowej od potocznej w dyscyplinie nauki zaistniał w świadomości politologów?

Czy reakcja doktorów nauk o polityce na „Podstawowy dylemat politologii” nie dowodzi czasem, że nie tylko mają trudności ze zrozumieniem, kim są, nie zdają sobie sprawy ze znaczenia uprawianej przez siebie dyscypliny nauki, ale nawet bezwiednie pogardzają swoją dyscypliną nauki?

Czy książka ta nie zostałaaby odczytana inaczej przez najbardziej zagorzałych antagonistów, gdyby ci działali w warunkach normalnego funkcjonowania krytyki naukowej na uniwersytecie? Przecież jednak wtedy nie napisałbym „Podstawowego dylematu politologii”. Nie byłoby powodu.

### I

Ortodoksję i herezję można badać jako dwa nieprzypadkowe stany umysłu, które są ze sobą nie tylko nie do pogodzenia, ale w specyficzny sposób określają zachowania różnych osób. Rozwój nauk społecznych był w ostatnich stuleciach nierozdzielnie związany z wpływami wielkich ideologii, dostarczających wizji porządku społecznego, poruszających nie tylko umysły ludzi myślących na sposób potoczny, ale także uczonych, których zadaniem jest powiedzieć coś więcej o otaczającym ich świecie.

Wielkim ideologiom nieprzypadkowo ulegali tak samo zwykli ludzie, jak i wykształceni. Stanowiły one odpowiedź na ich naturalne potrzeby. Przynajmniej do najgłębszych uczuć, nadając sens egzystencji.

W czasach starcia ideologii na uniwersytetach było miejsce dla heretyków. Formułowano pytania, czasem nawet na wydziałach nauk politycznych. W okresie dominacji technologii i techniki rola nieposłusznych, próbujących myśleć inaczej, przynajmniej na razie dobiegła końca. Za takich próbują dzisiaj uchodzić aktywni rzecznicy feminizmu i homoseksualizmu, ale to tylko efekt nieporozumień. Nie wiadomo, kiedy pojawi się zapotrzebowanie na herezję. Dzisiaj ortodoksja dobrze odnajduje się w środowisku społecznym i jest promowana, kiedy coraz bardziej li-

czy się sprawność w kopiowaniu, a znaczenie oryginalnej myśli, zwłaszcza zaś odkrycia naukowego, mało kto rozumie.

Dlatego nie ma już uniwersytetów, a uczelnie nazywane „uniwersytetami” opanowali konformiści, zdolni jedynie do demonstrowania oczekiwanych od nich zachowań i budowania spółdzielni. Dzisiaj sam uniwersytet przekształcił się w spółdzielnię wielobranżową.

Ewentualny kryzys dyscypliny nauki zawsze jest nie tylko pochodną poziomu jej dojrzałości, ale pozostaje także ściśle związany ze środowiskiem, w którym jest uprawiana.

Najgłębszy kryzys nieprzypadkowo przeżywają teraz wydziały politologii. Nie idzie tu tylko o dramatyczne obniżenie poziomu badań i przekazywanie studentom w procesie dydaktycznym wiedzy skopiowanej z mediów, przestarzałej, a nawet nonsensownej, ale przede wszystkim o brak poczucia tożsamości politologów, którzy, w odróżnieniu od prawników, ekonomistów i historyków, nie wiedzą nawet tego, co jest przedmiotem ich badań, określili swoją dyscyplinę nauki „dyscypliną interdyscyplinarną” i uparcie bronią tego nonsensownego podejścia.

Dlatego dzisiaj politologiem może samowolnie ogłosić się każdy. Jakoś nikt nie zadaje sobie pytania, dlaczego na przykład nie ma samozwańczych prawników czy ekonomistów?

To nie jest przypadek ani niewinny błąd. W warunkach zaniku refleksji teoretycznej nad przedmiotem badań dyscypliny mamy do czynienia z efektem całkowitej destrukcji metody naukowej. Zastąpiło ją myślenie potoczne, nietolerancyjne, niedopuszczające herezji, ortodoksyjne, zdominowane przez zależności towarzyskie i poddane władzy ideokopiarek.

Stało się to jednak możliwe nie tylko w efekcie niedojrzałości politologii jako dyscypliny nauki, ale także wskutek upadku uniwersytetu. Oczekiwanie, że będzie on tanią instytucją usługową, działającą na zasadach podobnych do biura podróży, biura doradztwa finansowego czy stacji obsługi samochodów doprowadziło do tego, że przestały funkcjonować tradycyjne dla tej instytucji mechanizmy: autonomia uczelni, autorytet profesora, ewaluacja dokonań drogą krytyki i awans dzięki osobistym dokonaniom. Zastąpiły je: poddanie władzy politycznej (która gardzi uniwersytetem), posłuszeństwo profesora (odzywa się tylko wtedy, gdy mu pozwolą zwierzchnicy i mówi wyłącznie to, czego od niego oczekują), punktacja i awans wszystkich, którzy są grzeczni (zwłaszcza zaś mieszczą się w układzie towarzyskim) oraz dominacja spółdzielni.

Gdy profesorowie wypowiadają się w ważnych sprawach już wyłącznie po otrzymaniu pozwolenia i mówią jedynie to, o czym wiedzą, że nie wywoła sprzeciwu, instytucja profesora przestała istnieć. Pozostał tylko tytuł, wyłącznie nadający

się na przemiał. Proces likwidacji jest obecnie już zaawansowany, także w przypadku stopni naukowych.

## II

Marksistowska teoria rozwoju społecznego zdobyła wielki wpływ w XX w. Bywały przypadki, że określiła myślenie ludzi skłonnych do ortodoksji na całe życie.

Należę do pokolenia, które miało możliwość spotkania z marksistowską teorią rozwoju społecznego w fazie końcowej, gdy jej zdolność trwania jako jedyne go prawowitego wyznania wiary już się skończyła, tylko jeszcze wielu o tym nie wiedziało. Krótko zaliczałem się do ich kręgu. Wprawdzie w drugiej połowie lat siedemdziesiątych przeczytałem pierwszy tom „Kapitału” Karola Marksa i zrobił on na mnie niemałe wrażenie, ale to odczucie nie trwało długo. Szybko przyszedł czas fascynacji liberalizmem i krytycznej refleksji nad konserwatyzmem. Ten czas trwał nieco dłużej. Zmiany społeczne umożliwiły obserwację procesu destrukcji i kompromitacji liberalizmu. Okazało się, że liberalizm bez wroga, czyli bez totalitaryzmu (wcześniej był nim feudalizm) jest tylko pustym hasłem, przykrywającym dynamiczny rozwój monopoli, oligarchii i imperializmu. Na dodatek ludzie, jak nie są komunistami, nie są i nie będą liberałami. Tak samo biedni, jak i bogaci.

Marksistowska teoria rozwoju społecznego oficjalnie przestała obowiązywać w Polsce w 1989 r. Liberalizm powinien być zostać pogrzebany już w 1929 r., ale warunki społeczne i atmosfera intelektualna, tworzona chyba przede wszystkim przez marksistowską teorię rozwoju społecznego, spowodowały, że jego szczątki żywiły ludzkie umysły do 2008 r. Ja uznałem go za przeżytek zaledwie kilka lat wcześniej. Dzisiaj może gdzieś jeszcze pozostali werbalni zwolennicy liberalizmu, ale chyba mało kto rozumie, co to słowo znaczy i jakie konsekwencje wynikają z budowania społeczeństwa na zasadach mniej lub bardziej zbliżonych do modelu leseferyzmu.

Doświadczenia rewolucji społecznych aż nadto wyraźnie pokazały, że ludzie nie tylko nie są wolni i równi, ale przede wszystkim nie chcą wolności i równości. Ich marzenia i rzeczywiste cele są zupełnie inne. Gdy mogą pozyskać „wartość dodaną”, uwierzyć w zbawienie, a nawet tylko wzmocnić wpływy, popularność, status celebryty, z łatwością sprzedadzą się, zgodzą na niewolnictwo, jeśli tylko ktoś przekona ich, że jest ono właściwą drogą do celu. W demokracji medialnej<sup>1</sup> widać to najlepiej, ponieważ nie istnieje drugi taki system polityczny, w którym, gdy triumfuje, wolność staje się obiektem nieomal powszechnej pogardy. Wszystko, co pojawia się w dużej ilości, nie może już wzbudzać ludzkiego pożądania. Dotyczy to nie tylko doktoratów z politologii, ale także wolności.

1 R. Skarzyński, Rzeczywistość obrazu: myśl polityczna w demokracji medialnej, [w:] *idem*, *Od liberalizmu do totalitaryzmu. Z dziejów myśli politycznej XX w.*, t. II, Warszawa 2002, s. 274–305.

Chyba marksistowska teoria rozwoju społecznego nie odeszła bez śladu. Istnieją po niej rozmaite pozostałości, a wśród nich jedna szczególna. Ujawnia się w tezie, że nie jest możliwa wielka teoria, która dostarczyłaby myśleniu naukowemu fundamentu pozwalającego na sformułowanie teorii społeczeństwa zdolnej do tego stopnia opierać się krytyce, iż ta mogłaby zostać zaakceptowana jako podstawa nauk społecznych, czyli jako ugruntowanie wiedzy, która z samej swej istoty jest zależna od wiedzy wobec niej nadrzędnej. Na przykład zależna od wielkiej teorii naukowej, wyjaśniającej funkcjonowanie środowiska zjawisk społecznych i ich nośnika.

A przecież dzisiaj, gdy już uwolnimy nasz umysł od anachronicznych doktryn liberalizmu i marksizmu, gdy nie poddamy się agresji różnych wydań seksizmu, nasuwa się dość prosta myśl: zjawiska społeczne nie są autonomiczne, tylko stanowią efekt powstania, ewolucji i aktywności organizmów. Stały się możliwe jedynie wskutek reprodukcji, zmiany i selekcji kodu genetycznego w szczególnym środowisku.

Ta teoria nie przebija się do świadomości profesorów uniwersyteckich wydziałów nie tylko politologii, ale w ogóle nauk społecznych. Jednak czasem pojedynczy umysł, który raz spróbował myślenia poza doktrynami, nie jest już w stanie poddać się ortodoksji go obezwładniającej. Umysł nie bez powodu najchętniej wyrzeka się wolności, ale w swoich rzadkich wydaniach jest skazany na próby budowania alternatywy, czyli teorii, w tym także wielkiej teorii, ugruntowanej nie dogmatami i prorocत्वami, ale zdolnej wyjaśnić (nie znaczy to: przewidywać!) zjawiska społeczne w sposób dający się zweryfikować.

Myślę, że istnieją dzisiaj wielkie teorie, nawet jeśli ich status poznawczy (w zakresie tego, co wyjaśniają i jak wyjaśniają) jest mocno zróżnicowany. Niestety reprezentanci nauk społecznych, może pod wpływem ciągle żywej świadomości krachu marksistowskiej teorii rozwoju społecznego, a może i fiaska innych prób historyozoficznych i przy braku zdolności udzielenia odpowiedzi seksizmowi, przy zaskakującej wobec niego nieśmiałości, nie dostrzegają możliwego znaczenia przynajmniej jednej z wielkich teorii, kluczowej dla tworzonej przez siebie wiedzy. Gdy uczucia dominują nad zdolnością krytycznej analizy, nie może być mowy o nauce.

Wielkie teorie to na przykład teoria heliocentryczna, teoria względności i teoria wielkiego wybuchu. Nie wydaje się, aby mogły one mieć zastosowanie do budowy teorii zjawisk społecznych. Istnieje však inna wielka teoria, teoria ewolucji, którą niewątpliwie da się wykorzystać do wyjaśniania zjawisk społecznych, w tym także zjawisk politycznych. Co powoduje, że na uniwersyteckich wydziałach nauk społecznych jest ona całkowicie ignorowana?

Teoria ewolucji łączy się z problemami rozmnażania i selekcji, a te, jak wiadomo, wywołują obrzydzenie w środowisku przedstawicieli nauk społecznych, gdzie selekcję utożsamia się z wykluczeniem i dyskryminacją, a seks z molestowaniem słabszych. Nie ma w niej żadnego pociągającego mitu, jaki znajduje się na przykład

w marksizmie czy feminizmie. Teoria ewolucji kojarzy się z uciskiem kobiet, homoseksualistów, z darwinizmem społecznym i rasizmem, czyli z brudnymi sprawami, z patologiami, faszyzmem i upokorzeniem człowieka.

Tymczasem profesorowie wydziałów nauk społecznych przede wszystkim poszukują piękna, które znajdują między innymi w mitach równości ludzi, sprawiedliwości, prawdy, racjonalnego wyboru i poprawności politycznej. Pociągają ich zjawiska nieobecne w świecie, jak równowaga sił i zrównoważony rozwój. Uwielbiają werbalnie walczyć z tym, co nazywają „wykluczeniem”. Pozbawieni elementarnej erudycji, coraz częściej operujący wiedzą zdobytą na podstawie lektur popularyzujących dokonania nauki, a nawet dostępnych w internecie streszczeń, publikują teksty, których nikt nie czyta (nawet recenzent) i nie zdają sobie sprawy z aktualnych wyników badań. Ciągłe wydaje im się, że opis powierzchownych zjawisk<sup>2</sup> może zastąpić teorię wyjaśniającą zależność zachodzącą pomiędzy fenomenem życia w formie procesu fizykochemicznego i procesem życia społecznego w postaci sieci relacji społecznych. Ludzie, którzy uzyskali profesury na podstawie takich publikacji, powielił każdy nonsens, w rodzaju geoeconomii<sup>3</sup> czy historii teorii stosunków międzynarodowych,<sup>4</sup> natomiast odkrycia naukowego nie tylko nie dokonają, ale nawet nie są w stanie go przyswoić. Interesują ich wyłącznie stopnie naukowe, stanowiska i zabezpieczenie do emerytury.

Może warto jednak krytycznie potraktować własne uczucia, zbadać przesady, inaczej spojrzeć na kwestie uznawane za oczywiste, przestać opisywać zjawiska powierzchniowe i zapytać o coś zupełnie innego. Na przykład zapytać, dlaczego niektóre organizmy żyją w pojedynkę i mimo to skutecznie się rozmnażają, a inne kooperują i łączą się w zgrupowania, a nawet w zjednoczenia, gdzie współpraca jest rozwinięta do tego stopnia, że jej zanik skazuje populację na szybkie wymieranie. Być może takie dostosowanie jest nie tylko nieprzypadkowe, ale ma wielkie znaczenie i jego analiza pozwala na sformułowanie dość daleko sięgających wniosków, dających się potwierdzić empirycznie. Na przykład wniosku, że społeczeństwo jest specyficzną formą istnienia życia, pełniącą funkcję niezwykle efektywnej adaptacji, możliwej jednak tylko w szczególnych warunkach ekologicznych. Czy aby tak określony obiekt badań nie powinien być dzisiaj przedmiotem poznania socjologii?

Teoria ewolucji wyjaśnia nam pochodzenie życia i mechanizmy jego funkcjonowania, w tym funkcjonowania łącznego, w postaci związków organizmów. Mogą to być związki niewielu, występujące pomiędzy parą jaszczurek (żyjących samotnie, wspólnie gotowych wyłącznie do szybkiej prokreacji), grupą szakali (żyjących w długotrwałym związku i pracowicie wspólnie wychowujących potomstwo), ale

2 Charakterystyczny przykład: T. Klementewicz, *Geopolityka trwałego rozwoju*, Warszawa 2013.

3 E. Halizak (red.), *Geoeconomia*, Warszawa 2012.

4 J. Czaputowicz, *Teorie stosunków międzynarodowych. Krytyka i systematyzacja*, Warszawa 2007; A. Galganek, *Historia teorii stosunków międzynarodowych*, Warszawa 2009.

również skupiające miliony w wielopokoleniowych związkach, na przykład termi-  
tów, mrówek, a także osobników ludzkich (tutaj związki cechują się szczególną zło-  
żonością i wynikają z tego dalekosiężne konsekwencje). Może jednak badacze zja-  
wisk społecznych powinni mniej zajmować się ideałami, pięknem i pochylić się nad  
zachowaniami seksualnymi zwierząt, aby zobaczyć, co dzieje się z zaangażowanymi  
w nie organizmami po kopulacji? Prawdopodobnie poznanie tego, co ma wówczas  
miejsce, wiele mówi o tym, czym jest ludzkie społeczeństwo.

Stosunki społeczne i tym samym społeczeństwa powstają w efekcie interak-  
cji organizmów, gdy nie tylko owe organizmy, ale także ich relacje zostały ukształ-  
towane działaniem doboru naturalnego. Ten dobór może działać tak, że buduje  
kontakty trwające minuty, jak i związki przekazywane z pokolenia na pokolenie.  
Właśnie dzięki tym drugim pojawiają się społeczeństwa, a w nich zjawiska poli-  
tyczne. Wszystko to ma miejsce, ponieważ istnieje wyraźna zależność pomiędzy  
treścią kodu genetycznego i zachowaniami przenoszących go osobników. Oczywi-  
ście ujawnia się on w zależności od specyfiki środowiska, w którym reprodukowa-  
ny jest kod i organizmy wchodzą we wzajemne interakcje. Na to środowisko składa-  
ją się w przypadku części gatunków nie tylko klimat, przyroda, dostęp do zasobów  
naturalnych, ale również tworzą go sieci stosunków społecznych, które zbiorowości  
osobników podtrzymują na co dzień.

Efektom ewolucji, czyli skutkiem działania selekcji naturalnej przez miliony  
lat są nie tylko konfiguracje kodu genetycznego, organizmy rozmaitych gatunków,  
lecz także zgrupowania organizmów, w tym również ludzkie społeczeństwa. Także  
te uformowane politycznie, występujące z uzbrojeniem wyłącznie dającym się kon-  
trolować przez machinę państwa. Funkcjonują one jako całości społeczne w cza-  
sie rozciągającym się na życie wielu kolejnych pokoleń. Dlatego darwinizm jest teo-  
rią, na której musi być zbudowana każda teoria naukowa, jeśli jej twórcy aspirują do  
wyjaśniania zjawisk społecznych.

Gdy idzie o wyjaśnianie ludzkich społeczeństw, nie dysponujemy dzisiaj kilko-  
ma teoriami. Liczy się tylko jedna teoria i jest nią darwinizm. Nie istnieje obecnie  
żadna teoria konkurencyjna. Dlaczego na wydziałach nauk społecznych przyswoje-  
nie tej prostej myśli stało się niemożliwe? Dlaczego popularne jest twierdzenie, że  
brak wielkiej teorii i jednocześnie niemała liczba akademików demonstrowa bezkry-  
tyczny, a nawet akceptujący stosunek do feminizmu? Jakby nie zdając sobie sprawy  
z tego, że rozwój doktryn seksistowskich wywołał ważne konflikty społeczne, ale  
myślenie naukowe prowadzą one na manowce. Jak każda inna doktryna, jak niegdyś  
prowadziły doktryny marksistowskie, faszystowskie czy rasistowskie. Feminizm jest  
polityką, a polityka nie tylko nie sprzyja, ale zawsze szkodzi myśleniu naukowemu,  
ponieważ niezmiennie traktuje je jako środek do walki o własne cele.

Ludzkie zdolności poznania, także rzeczywistości społecznej, bardzo się zmie-  
niły od czasu, kiedy myśliciele oświecenia, a potem marksiści określali, na czym

polega poznanie. Nie da się już dzisiaj zbudować teorii społeczeństwa na gruncie katolicyzmu, marksizmu, liberalizmu, konserwatyzmu czy feminizmu. To są zupełnie inne typy ludzkiego wyjaśniania świata. Możemy oczywiście katolicką doktrynę społeczną nazwać „nauką społeczną Kościoła katolickiego”, doktrynę marksizmu „marksistowską teorią rozwoju społecznego”, a doktrynę feministyczną przedstawić jako „feministyczną teorię społeczeństwa”, „feministyczną teorię stosunków międzynarodowych” i „politologię feministyczną”. Niedługo pewnie zostaną opublikowane podręczniki „politologii gejowskiej”. Naciąga też „politologia animalistyczna”.

Gdy mówimy o teorii marksistowskiej, feministycznej, animalistycznej czy liberalnej, używamy słowa „teoria” w znaczeniu potocznym (jak ma to miejsce w przypadku sformułowania „teoria rasowa”, gdy odnosi się do narodu lub dających się zaobserwować cech ludzi), a nawet możemy wykorzystywać politycznie do nadania nadrzędnego znaczenia twierdzeniom uzasadniającym szczególne aspiracje niektórych osobników, próbujących wzmocnić własne wpływy.

Obecnie to, co nazywa się „naukami społecznymi”, nie jest nauką w tym sensie, jak fizyka, chemia czy biologia. Nie dlatego, że wyników nie prezentuje się w języku matematyki. Myślenie na wydziałach nauk społecznych opiera się na doktrynach i w warunkach upadku marksizmu, przy silnych lewicowych skłonnościach profesorów, poddane zostaje feminizmowi i innym formom seksizmu. Wielkie teorie nie są nawet przedmiotem marginesowych rozważań. Zostały nieformalnie wyeliminowane z debaty, która w warunkach przemian technologicznych jest coraz mniej możliwa. Za debatę uznaje się kopiowanie starych schematów myślowych, ale przecież ten proces jedynie obraca uniwersytety w powielarnie i pokazuje, że w tej postaci są zbędne.

### III

Spróbujmy wykroczyć poza schematy myślenia dominujące na wydziałach nauk społecznych.

Czy teoria ewolucji jest filozofią, skoro ewolucja jest faktem<sup>5</sup>? Charakter filozoficzny może mieć pytanie o to, co ewoluuje. Na przykład czy przedmiotem ewolucji jest życie, są konfiguracje kodu genetycznego czy jeszcze coś innego: chociażby społeczeństwo. Tutaj występuje problem interpretacji, z którym ludzki umysł musi się zmierzyć w warunkach braku jednoznacznego punktu odniesienia.<sup>6</sup> Jednak samo twierdzenie, że ewolucja życia zachodzi, nie jest filozofią, podobnie jak filozofią nie jest teza, że Ziemia krąży wokół Słońca, a ono nie jest centrum świata. To są elemen-

5 Wprowadzenie dla początkujących: J. Coyne, *Ewolucja jest faktem*, Warszawa 2009.

6 Widać to w dyskusjach współczesnych biologów. Np. zob. S. Okasha, *Evolution and the levels of selection*. Oxford 2006.

tarne fakty, które nie podlegają dyskusji. Interpretacji natomiast wymagają między innymi skutki owych zjawisk dla człowieka i to na różnych polach jego egzystencji.

Teorią jest wyjaśnienie, jak i dlaczego Ziemia krąży wokół Słońca. Teorią jest wyjaśnienie jak powstało życie i w efekcie działania jakiego mechanizmu ewoluuje. Tutaj nie ma miejsca na filozofię, ponieważ obecnie mówimy o faktach niepozostawiających miejsca ludzkim spekulacjom.

Wydaje mi się, że dzisiaj, gdy wiemy, że społeczeństwo jest efektem występowania życia podlegającego ewolucji, już nie powinien być przedmiotem sporu problem podstaw nauk społecznych. Fundament tych nauk tworzy teoria ewolucji, między innymi wyjaśniająca genezę i funkcjonowanie organizmów społecznych. Natomiast nie da się uniknąć filozoficznej wykładni tej teorii, przynajmniej niektórych problemów z niej wynikających, aczkolwiek owa wykładnia, jeśli ma mieć charakter akademicki, musi być zgodna z podstawowymi tezami teorii ewolucji, które nie są założeniami, przestały być hipotezami, ponieważ je potwierdzono. Wprawdzie nie jest to uznanie powszechne z racji obecności (teorii!!!) kreacjonizmu, ale ta doktryna nie może być traktowana jako rywal darwinizmu. Przynajmniej przez uczonych rozróżniających wiarę i naukę. Nawet wówczas, gdy na wydziałach nauk społecznych nie udaje się jeszcze dostrzec różnicy pomiędzy doktryną i teorią naukową.

Gdy mówimy, że społeczeństwo ma charakter klasowy i jego przeznaczeniem jest komunizm, mamy do czynienia nie tylko z filozofią, ale także z doktryną, ponieważ takiego twierdzenia nie da się udowodnić, nawet jeśli zastosuje się o wiele bardziej wyrafinowane rozumowanie od praktykowanego przez Marksa i Engelsa. Można je traktować jako obowiązujące wyłącznie w powiązaniu z innymi, niedającymi się dowieść twierdzeniami. Gdy stwierdzimy, że życie ewoluuje w efekcie selekcji kodu genetycznego i w tym procesie nie sposób doszukać się sensu, mówimy o fakcie i o jego interpretacji w świetle dostępnych danych. Z pewnością nie ma tu żadnej doktryny. Jest tylko teoria zbudowana na gruncie potwierdzonych hipotez. Czy teza, że w ewolucji nie można dopatrzeć się jakiegokolwiek sensu, jest filozofią? Już ten typ pytania oznacza nastawienie filozoficzne?

Obecnie dużo mówi się o integracji nauk społecznych. Szczególnie politolodzy mają usta wypełnione frazesami o badaniach interdyscyplinarnych. Nie są w stanie w tej kwestii sformułować żadnej oryginalnej myśli, głoszą kompletne nonsensy, których krytykę uparcie ignorują. Może warto jednak przynajmniej na chwilę przestać kopiować i zastanowić się nad bardzo prostą kwestią: jeśli postuluje się integrację nauk społecznych, to czy czasem nie wypada określić, na jakiej podstawie miała by się ona dokonać? Dowolne deklaracje tutaj nie wystarczą. Dalej mogą postulować przekraczanie granic dyscyplin jedynie kompletni ignoranci, ponieważ takie stwierdzenie nic dzisiaj nie znaczy.



Podstawa nauk społecznych nie może być doktrynalna, nie może być ani przy-  
 padkowa, ani syndromatyczna, ani metaforyczna, ani interdyscyplinarna? Podstawy  
 nie może tworzyć metoda badania czy jakieś nieokreślone spojrzenie na badania na-  
 ukowe, które z uporem powiela się w kręgu towarzyskim za wszelką cenę bronią-  
 cym swoich pozycji. Jak czynią to na przykład teoretycy polityki III Rzeczypospolitej  
 czy zwolennicy pseudonaukowej „teorii stosunków międzynarodowych”. Przecież  
 integracja nauk społecznych będzie możliwa tylko wtedy, jeśli wyznaczy się nowy,  
 bardziej ogólny, wspólny dla dotychczas uprawianych nauk przedmiot badań. Nie  
 da się uniknąć pytań o to, co należy badać i dlaczego akurat to, a nie coś innego.

Taki przedmiot poznania można już dzisiaj wyznaczyć, tylko przedstawiciele  
 „nauk o polityce”, skupiający swoją uwagę na powielaniu doktryn i pseudoteo-  
 rii „dyscypliny interdyscyplinarnej”, nie widzą go. Błędy popełnione w młodości  
 i skrajna ignorancja powodują, że muszą całkowicie odrzucać rozumowanie w ka-  
 tegoriach przedmiotu poznania. Tego rodzaju myślenie wymaga przecież znajomo-  
 ści stanu nauki, erudycji, a oni teksty klasyczne znają co najwyżej ze streszczeń. Dla-  
 tego ich myślenie zawsze zmierza na manowce i już nie zmieni swego kierunku. Są  
 dla nauki straceni.

Nauki społeczne mogą podlegać integracji nie w efekcie nieprzemyślanych de-  
 klaracji ignorantów czy obrony układów towarzyskich, ale tylko wtedy, gdy znajdują  
 wspólny przedmiot badań i sformułują jego teorię, którą później będą rozwijać. Wy-  
 maga to erudycji i rywalizacji teorii.

Rozwój współczesnej biologii dowodzi, że przedmiotem badań nauk społecz-  
 nych może być wyłącznie życie, które w postaci organizmów podlega dostosowaniu  
 łącznemu, czyli wyewoluowało do form dopuszczających współpracę osobników  
 promowanych przez dobór naturalny z racji właściwych im cech. Przede wszystkim  
 tych cech, które powodują, że osobniki ze sobą współpracują i dzięki temu podno-  
 szą swoją zdolność kontrolowania zasobów oraz przetwarzania ich na energię.

Historia biologii dowodzi także czegoś więcej. Pokazuje, że nauka ta, poza krót-  
 kim okresem przejściowym, zawsze miała jedną teorię. Najpierw był nią lamarkizm,  
 a teraz jest darwinizm. Przedmiotem tych teorii zawsze było to samo, czyli życie,  
 jednak wyjaśniane przez nie odmiennie. Lamarkizm wyjaśniał życie prostą teorią  
 zjawisk dających się zaobserwować. Natomiast darwinizm po sformułowaniu teorii  
 doboru naturalnego, tym bardziej zaś teorii dziedziczenia i dostosowania łącznego,  
 szczególnie zaś po powstaniu genetyki w dzisiejszej postaci, czyni to już na gruncie  
 złożonej teorii mechanizmu życia niewidocznego dla ludzkiego obserwatora (po-  
 nieważ wymienione teorie uzupełniają się i jako subteorie tworzą całość teorii ewo-  
 lucji w jej dzisiejszej wersji). Umożliwiło to eksplozję badań empirycznych i szybki  
 rozwój teorii przedmiotu poznania, czyli teorii życia.<sup>7</sup>

7 E. Schrödinger, Czym jest życie? Fizyczne aspekty żywej komórki, Warszawa 1998.

Historia biologii pokazuje nam, że nauka w każdej postaci ma swój przedmiot poznania, którego teorię buduje. Dzisiejszy darwinizm jest taką właśnie teorią, stale doskonaloną, która składa się z wielu subteorii. O tym dalej.

Nauki społeczne są naukami o życiu istniejącym w formie związków organizmów, a ich fundamentem jest podstawowa nauka o życiu, czyli biologia. Jednak nauki społeczne jako nauki o życiu nie powielają dorobku biologii, ale rozwijają teorię życia tam, gdzie biolodzy już nie są w stanie tego czynić. Fenomenowi życia nie można dzisiaj wyjaśniać jako zjawiska czysto biologicznego, w postaci procesów fizykochemicznych przebiegających pod kontrolą genetyczną i środowiskową. Życie to w wielu formach heterotroficznym oparte jest, poza procesami fizykochemicznymi, także na stosunkach społecznych, a nawet ich sieciach (jest od nich zależne: tylko dzięki nim może się reprodukować i przetrwać), czyli na relacjach i systemach relacji organizmów wyselekcjonowanych i przygotowanych do egzystencji społecznej działaniem doboru naturalnego. Ważnym elementem kontroli środowiskowej jest nadzór ze strony sieci stosunków społecznych i właściwych im układów sił, tworzonych przez uczestników owych, coraz bardziej złożonych zespołów interakcji międzyosobniczych i podtrzymywanych w czasie życia kolejnych pokoleń.

Teoretyczny fundament nauk o życiu tworzy teoria ewolucji, której ustalenia mają wpływ na nasze rozumienie przedmiotu poznania politologii. Uznanie biologii za podstawową naukę o życiu nie eliminuje bowiem pytania o przedmioty poznania poszczególnych dyscyplin nauk społecznych. Każda z tak rozumianych nauk społecznych nadal dysponuje własnym przedmiotem poznania, który jednak musi być na nowo zdefiniowany w świetle teorii ewolucji i oczywiście pozostaje w ścisłym związku z przedmiotem poznania biologii.

**Jeśli politologia jest jedną z nauk o życiu wyznaczonych na gruncie teorii ewolucji, to jej podstawowe pytanie badawcze brzmi następująco:**

**– jaka jest funkcja zjawisk politycznych w procesie ewolucji życia?**

Czy zjawiska polityczne zostały dopuszczone genetycznie i mają charakter dostosowania osobników gatunku ludzkiego do wymogów środowiska, czy może jakiś inny?

Może zjawiska polityczne są fikcją zbudowaną w efekcie fantazji pisarzy, filozofów albo ideologów?

Czy też funkcja zjawisk politycznych jest inna i na przykład polega na wielbieniu Boga, króla, partii, na wprowadzaniu lub przełamywaniu anarchii, walce o emancypację narodów, klas, ras, a może kobiet i homoseksualistów?

Nie da się wykluczyć, że w ogóle chodzi o coś jeszcze innego i zadaniem politologii jest tworzenie wytycznych do budowania globalnej demokracji albo nawet oglupianie ludzi celem ochrony pozycji oligarchii? Czy też ta nauka poświęca się badaniu samorządów, tworzeniu zasad marketingu politycznego i komentowaniu bie-

żącej polityki? Czyli po prostu „bada” to, co profesorom przyjdzie do głowy w danej chwili.

Chyba te pytania, tak w świetle współczesnego stanu nauki, jak i współczesnej działalności profesorów skupionych na wydziałach politologii, nie są bez znaczenia? Zwłaszcza nie powinny być bez znaczenia dla doktorów politologii? Jeśli tacy istnieją na uniwersytetach, ponieważ w ostatnich latach coraz silniejsze staje się podejrzenie, że zostali zastąpieni przez doktorów pseudonauki.

#### IV

Pisząc wiosną 2010 r. artykuł „Podstawowy dylemat politologii” nie zdawałem sobie sprawy z wielu zjawisk zachodzących w środowisku uniwersyteckich wydziałów nadających doktoraty z „nauk o polityce”. Dopiero zdecydowany opór profesury wobec skromnego tekstu, zaproponowanego wydziałowym „Studiom Politologicznym”, w stosunku do moich, w sumie dość powierzchownych tez, zmobilizował mnie do bardziej wnikliwego przyjrzenia się tej dyscyplinie nauki. Wiedziałem, że publikacje nazywających siebie samych „politologami” często są dramatycznie słabe, ale zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z tego, że oni własną dyscyplinę nauki przekształcili w „dyscyplinę interdyscyplinarną”, którą, za pomocą manifestu, ogłosili dyscypliną bardziej zaawansowaną od tradycyjnych dyscyplin nauki.<sup>8</sup> Ostatnio manifesty stały się modne w ich kręgu.<sup>9</sup> Pozwalają one między innymi ukryć ten wstydlivy fakt, że doktoranci postawili pytanie o to, czy politologia w ogóle jest nauką,<sup>10</sup> a profesorowie byli i nadal nie są w stanie podjąć tej kwestii.

Dzisiaj polska pseudopolitologia istnieje tylko w efekcie upadku uniwersytetów i manifestowania przez profesorów zachowań akceptowanych środowiskowo. Istnieją niezliczone dowody, że nazywanie jej nauką jest jedynie efektem ignorancji.

Możemy mówić o kryzysie nauki w ogóle i o kryzysie nauk społecznych. Jednak w przypadku „nauk o polityce” mamy do czynienia z całkowitym upadkiem dyscypliny obróconej w potoczną wiedzę o społeczeństwie. Ten upadek jest przede wszystkim wynikiem przyjęcia tezy, że politolog może badać każde zjawisko społeczne, ponieważ nie istnieje coś takiego jak przedmiot poznania jego dyscypliny nauki.

Obecnie warto wskazać na znaczenie tego, co wyraźnie podkreśliłem dopiero w 2012 r. w książce „Podstawowy dylemat politologii”. Politologia jako dyscyplina nauki nie jest tym samym czym są nauki polityczne i nauka o polityce. Jeśli politologia jest możliwa jako dyscyplina współczesnej nauki, to tylko wtedy, gdy będzie ugruntowana wielką teorią, która wyjaśnia nie sens istnienia życia, ale mechanizm

8 M. Karwat, Metodologiczne przewartościowania politologów, „Studia Nauk Politycznych” 2004, nr 1, s. 9.

9 E. Haliżak w 2012 r. manifestem ogłosił obowiązującą doktrynę geoeconomii (zob. wyżej przypis 3).

10 Politologia jako nauka? Analiza politologiczna wobec kwestii współczesnego świata, M. Krzysztofik, D. Gauza (red.), Zielona Góra 2009.

jego powstania i funkcjonowania. Ta wielka teoria to teoria ewolucji, na którą, jak wyżej wskazałem, składają się subteorie. Przede wszystkim trzy subteorie: darwinowska teoria doboru naturalnego, mendlowska teoria dziedziczenia i darwinowska teoria dostosowania łącznego, rozwinięta i sformułowana w języku matematyki przez Williama Hamiltona. Tworzą one podstawę teorii ewolucji społecznej, której zarys przedstawiłem we wstępie do *Mobilizacji politycznej*.

W tych trzech podstawowych subteoriach ewolucji nie ma jakiegokolwiek filozofii. Na nich natomiast można zbudować filozofię.

Dzisiaj teoria tego, co polityczne, dokładnie tak samo jak teoria życia, która przeszła od lamarkizmu do darwinizmu, nie tylko nie musi, ale nie może być już teorią aspektową, czyli teorią zbudowaną w efekcie prób wyjaśnienia niektórych zjawisk rzucających się w oczy bardziej niż inne. Na przykład polityki, państwa albo władzy politycznej. Zjawiska polityczne trzeba badać w ich wzajemnych związkach, w całości jako efekt istnienia życia, przede wszystkim zaś życia zdolnego do egzystencji społecznej. Dlatego – przykładowo – polityki, państwa i władzy politycznej nie da się wyjaśnić bez teorii mobilizacji politycznej i teorii poliarchii.

Politologia nie może istnieć jako dyscyplina nauki bez systematyzacji i klasyfikacji zjawisk politycznych.

Tym bardziej niczego nie wyjaśni się za pomocą rozróżnień „syndromatycznych”, nieprecyzyjnych i mylących. Zastanawiające jest jak profesorki pozbawieni elementarnej wiedzy z zakresu teorii tego, co polityczne, mogą rozwijać własne kategorie, pomijając dorobek dyscypliny nauki, w zakresie której na zatrudniającym ich wydziale nadaje się doktoraty? Jak mogą ignorować dostępną krytykę?

Tak wielka jest ignorancja chyba tylko na wydziałach politologii, gdzie profesorki wykształceni w filozofii, prawie, ekonomii czy historii, a nawet z doktoratami dyscypliny komicznie nazywanej „naukami o polityce”, nie wahają się w swoich publikacjach demonstrować osobistej nieznamośności elementarnej wiedzy z zakresu dyscypliny nauki, z której przyznają doktoraty. Kierują pracami nad rozprawami doktorskimi, które, jak łatwo wykazać, nie są doktoratami z politologii, nie są nawet doktoratami z „nauk o polityce”, tylko są doktoratami z „dyscypliny interdyscyplinarnej”, w której wszystko można prezentować jako badania naukowe.

Także pisanie książek o szczególnych momentach w historii, będące efektem naśladowania nieudanych wzorów dwudziestowiecznych, nie ma sensu, jeśli tych zjawisk nie umieści się w procesie ewolucji społecznej, czyli procesie wyjaśniającym funkcjonowanie zbiorowości ludzkich w czasie życia wielu pokoleń. O tej ewolucji nie można wypowiadać się ogólnie, na podstawie przypadkowych, wybiórczych lektur (głównie zresztą znanych ze streszczeń, a nie z oryginału), używając dowolnie dobranej terminologii.<sup>11</sup> Musi ona być wyjaśniana w kategoriach darwinow-

11 T. Klementewicz, *Geopolityka...*, *op. cit.*

skich, przede wszystkim w kontekście dostosowania łącznego, tak na poziomie konfiguracji kodu genetycznego, jak i związków organizmów. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że to ewolucyjne wyłonienie specyficznych związków ludzi doprowadziło do pojawienia się takich zjawisk, jak na przykład polityka, państwo i władza polityczna.

Rozwinięta na gruncie teorii ewolucji teoria tego, co polityczne, tworząca podstawę dyscypliny nauki, czyli politologii, wyjaśnia obecnie nie politykę, państwo i władzę, nie zjawiska „syndromatyczne i typologiczne”, ale zjawiska polityczne jako kompleksowy efekt dostosowania ewolucyjnego ludzkich zbiorowości, zgrupowanych w zjednoczenia rywalizujące o porządek świata w ramach systemu poliarchii. Zjawiska społeczne mogą być badane tylko jako przejaw aktywności życia. Natomiast dowolne rozróżnienia, nawet nazywane filozoficznymi, ale pozbawione odniesienia do teorii ewolucji, w szczególności teorii dostosowania łącznego, dzisiaj są tylko skutkiem poddania się rozumowaniu doktrynalnemu, czyli stanowią efekt ignorancji. Podstawą tej ignorancji jest nieznanostwo teorii ewolucji.

Politologia, tak samo jak inne dyscypliny nauki, nie tylko nie może bazować na doktrynach i ignorancji typowej dla dzisiejszych akademickich filozofów.<sup>12</sup> Próby wyjaśniania polityki z punktu widzenia państwa i interpretowania państwa jako szczególnego zjawiska politycznego są całkowicie chybione. Tak samo jest z partią, rodem dynastycznym czy systemem politycznym. Wszystko to są zjawiska polityczne, które należy tłumaczyć i klasyfikować w całości na gruncie jednej teorii jako efekt ewolucji życia zdolnego do egzystencji społecznej. Wyjaśnienie aspektowe ma charakter potoczny, jest skutkiem wybrania drogi na skrót i musi być eliminowane z dyscypliny nauki w miarę precyzowania jej podstaw, w efekcie rozwoju wiedzy o przedmiocie poznania i dojrzenia poczucia tożsamości badaczy uprawiających tę dyscyplinę.

Państwo jest efektem działania selekcji ewolucyjnej na społeczne związki ludzi.<sup>13</sup> Jak jednak działa tego typu dobór? To właśnie powinien umieć wyjaśnić politolog, nie operując trywialnymi, pokątnie ogłaszanymi i chronionymi przed krytyką pomysłami w rodzaju „teorii metafor”, „dyscypliny interdyscyplinarnej” i „koncepcji zjawisk syndromatycznych”, ale w kategoriach darwinowskich i w zakresie przedmiotu poznania własnej dyscypliny nauki.

Łatwo zauważyć, że tak zwana „marksistowska teoria rozwoju społecznego” zasadniczo różni się od teorii ewolucji. Pierwsza faktycznie nie jest teorią, tylko zespołem apriorycznych twierdzeń, dogmatów, które miały zarówno wyjaśniać funkcjonowanie ludzkich społeczeństw, jak i wskazywać pożądaną ich organizację z racji przypisanej im klasowej konstrukcji. Źródłem tej „teorii rozwoju społecznego” są

12 Pokazałem ją w Podstawowym dylemacie politologii na przykładzie dorobku Stefana Opary (s. 96, przyp. 142).

13 Wyraźnie pokazał to H. Spruyt, *The sovereign state and its competitors*, Princeton 1994. Zob. też: E. Sober, D. Wilson, *Unto others. The evolution of psychology of unselfish behavior*, Cambridge Mass. 1998, w popularnej pracy: J. Diamond, *Strzelby, zarazki, maszyny. Losy ludzkich społeczeństw*, Warszawa 2000.

pisma dogmatyczne, stworzone przez Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Mówienie o niej jako o nauce było efektem polityki, która nadawała doktrynie status przypadający nauce.

Innymi słowy, doktryna rozwoju społecznego niesie ze sobą marksistowską wizję porządku społecznego uzasadniającą dominującą pozycję partii marksistowsko-leninowskiej, rzekomo reprezentującej interesy mas pracujących. Dlatego zawsze była także ideologią w sensie wielkiej wizji powszechnego porządku społecznego. Oficjalnie dowodziła praw ludzi pracujących, a w praktyce stała na straży przywilejów konkretnego podmiotu politycznego (jego członków, w szczególności kierownictwa partii, a nie ludzi pracujących) do zajmowania pozycji kierowniczej. Dlatego głównym problemem jej zwolenników niezmiennie okazywało się strzeżenie ortodoksji. Nieliczni tak się wyszkolili w realizacji tego działania, że nawet ćwierć wieku po upadku komunizmu nadal rozumują i zachowują się wedle zasad partii komunistycznej i jej „uniwersytetu”, czyli WUML-a.

Marksistowska „teoria” rozwoju społecznego była doktryną zawierającą twierdzenia tworzące podstawy ideologii opisującej pożądany model nieistniejącego społeczeństwa komunistycznego, propagowanej, aby poruszyć uczucia ludzi i wyzwolić w nich entuzjazm. W bardzo konkretnym celu: mobilizacji do uczestnictwa w budowaniu nowego systemu społecznego. Tak pobudzić aktywistów, aby byli gotowi ponieść wszelkie koszty związane z tym przedsięwzięciem, zaś inaczej myślącym pokazać, że są w błędzie. Ponieważ akt ten miał charakter rewolucyjny, chodziło o skrajną mobilizację, której celem nie jest zwykle posłuszeństwo i płacenie podatków, ale czyn ostateczny, polegający na ofiarowaniu życia partii w codziennym działaniu, prowadzonym w otoczeniu wrogów i w walce fizycznej, gdy idzie już tylko o umieranie.

Marksistowska „teoria” rozwoju społecznego miała pełnić tę samą funkcję, którą od dawien dawna pełniły doktryny religijne i doktryny polityczne. Między innymi wielorakie formy tego, co chrześcijanie z pogardą nazywali „pogaństwem”, samo chrześcijaństwo, islam, liberalizm, konserwatyzm, syndykalizm, anarchizm itd. Marksistowska „teoria” rozwoju społecznego faktycznie była więc typową doktryną pełniącą funkcję środka mobilizacji politycznej. Za jego pomocą oddziaływano na ludzkie umysły, by uniemożliwić przyswajanie doktryn alternatywnych i skłonić miliony osobników do świadczeń, do których w innych warunkach nigdy nie byliby gotowi. Po zwycięstwie rewolucji i powstaniu państw komunistycznych stała się środkiem utrzymywania ludzi w posłuszeństwie. Na komunistycznych uniwersytetach nadano jej status teorii naukowej, faktycznie zaś była typową pseudo-teorią, która znaczenie zdobyła wyłącznie dlatego, gdyż pełniła ważne funkcje polityczne.

Czegoś takiego nie znajdziemy w teorii ewolucji, która jest przeciwieństwem doktryny, czyli teorią naukową, co oznacza, że składa się z zespołu hipotez wyłącz-

nie wyjaśniających pochodzenie życia, gatunków, związków organizmów, człowieka i ludzkich społeczeństw. Wprawdzie istnieją pisma Darwina, ale one nie są traktowane jako traktaty dogmatyczne. Teoria ewolucji powstała nie tylko jako herezja, ale na jej gruncie herezja, w formie twierdzeń stanowiących wyzwanie dla twierdzeń obowiązujących, uchodzących za potwierdzone, jest zawsze dopuszczalna.

W badaniach ewolucji herezja jest czymś naturalnym. W przeciwieństwie do doktryn, gdzie niezależne myślenie traktowane jest jako zagrożenie dla ludzi, którzy przy pomocy głoszonych przez siebie twierdzeń uzasadniają swoje szczególne uprawnienia, na przykład do chrystianizacji, islamizacji, oligarchizacji, rozkułaczenia, likwidacji państwa czy uwolnienia społeczeństwa od obcych ras. Obecnie nie istnieje interes do „darwinizacji” społeczeństwa. Co najwyżej istnieje dążenie do poznania rzeczywistości, które promuje darwinizm. Natomiast próba „darwinizacji” społeczeństwa mogłaby pojawić się w efekcie upolitycznienia darwinizmu, czyli podniesienia go do rangi zajmowanej niegdyś na przykład przez marksizm. Wtedy teoria ewolucji uległaby przeobrażeniu w doktrynę ewolucji i stałaby się fundamentem nowej ideologii politycznej, będącej środkiem mobilizacji politycznej.

Marksistowska doktryna rozwoju społecznego została sformułowana w walce z kapitalizmem i funkcjonowała jako środek polityczny partii komunistycznych. Jako środek służący uzasadnieniu roszczeń, działań, a także indoktrynacji, czyli kontroli umysłów i zachowań ludzi. W taki sam sposób, jak jest to możliwe za pomocą doktryny religijnej. Tutaj chodziło o wyznanie wiary i bez znaczenia było, że wiara ta miała charakter świecki. Na gruncie marksistowskiej doktryny rewolucji, stanowiącej część marksistowskiej doktryny (dla podniesienia rangi nazywanej teorią i nauką) rozwoju społecznego, tak samo jak na gruncie katolicyzmu, herezję uznawano za zjawisko patologiczne, wymagające zwalczania.

Trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób teoria ewolucji mogłaby stać się środkiem politycznym, chociaż nie można wykluczyć takich prób w przeszłości.

Na razie jednak za teorią ewolucji nie stoi jakakolwiek partia polityczna, nie stoi wiara z naród, boga, klasę czy rasę. Za teorią ewolucji nie kryje się żadna wola panowania, emancypacji, marzenie o przewidywaniu przyszłości, czy chęć poznania absolutu. Za nią kryje się tylko jedno ludzkie dążenie: ciekawość, która ujawnia się w pasji poznania. Coraz bardziej wnikliwego, lepszego poznania, gdy każde pytanie może zostać sformułowane i nie tylko nie wymaga się obrony wyznania wiary, ale czeka na tezy alternatywne. O tym oczekiwaniu na nowe odkrycia, a nie na zbawienie, nie na triumf rasy czy klasy przesądza zwykła ciekawość. Nic więcej.

Dlatego teoria ewolucji może istnieć wyłącznie jako zbiór hipotez, które ciągle podlegają weryfikacji i są przedmiotem dyskusji. Część z nich jest uznawana za potwierdzone, ale to nie oznacza, że w przyszłości nie mogą zostać obalone. Niektórzy ewolucjoniści redukują dzisiaj teorię ewolucji do zespołu twierdzeń wyjaśniających

przepływ genów w czasie.<sup>14</sup> Inni badają także zależności zachodzące pomiędzy tymi procesami i pojawieniem się różnych form związków organizmów.<sup>15</sup> Widać obecnie, że bez rozstrzygnięcia problemu ewolucji społecznej nie tylko nie jest możliwy dalszy rozwój nauk społecznych, ale także biologii.

Teoria ewolucji obowiązuje wyłącznie dlatego, ponieważ nie istnieje teoria zdolna lepiej od niej wyjaśnić fenomen życia. Zastąpiła lamarkizm nie decyzją króla czy prezydenta, nie uchwałą komitetu politycznego partii, ale z powodów czysto poznawczych. Wyłącznie ze względu na zdolność wyjaśniania zjawisk uznawanych za ważny przedmiot poznania. Na gruncie teorii ewolucji pojawiają się nowe twierdzenia i teorie cząstkowe, ponieważ dotychczas przedstawione wyjaśnienia uznaje się za mylne lub niewystarczające. Teoria ewolucji nie ma wyznawców, a ortodoksja jest z punktu widzenia jej założeń największym możliwym błędem, jeśli dyskurs ma zachować charakter naukowy. W każdym innym przypadku staje się imitacją debaty naukowej i prowadzi do kreowania pseudonauki.

Teoria ewolucji jako wielka teoria nie zastępuje doktryn typu marksistowskiej doktryny rozwoju społecznego, doktryny Kościoła katolickiego, komunizmu czy liberalizmu. Nie przewiduje przyszłości, nie daje nadziei i nie mówi, jak żyć. Być może dlatego jest tak trudna do przyjęcia nawet przez uniwersyteckich profesorów. Wiedza z zakresu teorii ewolucji nie ma nic wspólnego z wiedzą liberalizmu, marksizmu, cybernetyki czy kognitywistyki, ponieważ ze względu na znaczenie dla podmiotu poznającego jest to wiedza o statusie podobnym statusowi teorii wielkiego wybuchu.

Teoria ewolucji nie jest teorią interdyscyplinarną, chociaż wyjaśnia zjawiska z zakresu przedmiotów poznania różnych dyscyplin nauki. Teoria ewolucji jest teorią życia, czyli wyjaśnia przedmiot poznania biologii, którego różne aspekty funkcjonowania badają także nauki społeczne. **Możemy więc mówić o jedności nauki, ale nie o końcu dyscyplin nauki, ponieważ istnienie dyscyplin nauki nie jest efektem specyfiki rzeczywistości, tylko konsekwencją tego, jak ludzki umysł poznaje świat.**

W uproszczeniu można powiedzieć, że dyscypliny nauki istnieją dlatego, że ludzkim umysłem kieruje uwaga, a więc poznaje on rzeczywistość, wyłącznie koncentrując się na wybranych obiektach, które tworzą nie syndromy, ale stają się przedmiotami poznania. Gdy część z nich jest tak doniosła, jak życie czy zjawiska polityczne, iż stają się przedmiotami poznania w kolejnych pokoleniach. Tak z biegiem

14 Np. D. Futuyma, *Ewolucja*, Warszawa 2008.

15 L. Buss, *The evolution of individuality*, Princeton 1987; J. Maynard Smith, E. Szathmáry, *The major transitions in evolution*, Oxford 1995; R. Michod, *Darwinian dynamics. Evolutionary transitions in fitness and individuality*, Princeton 1999; J. Turner Scott, *The extended organism. The physiology of animal – built structures*, Cambridge 2000; J. Odling-Smee, K. Laland, M. Feldman, *Niche construction. The neglected process in evolution*, Princeton 2003; E. Jablonka, M. Lamb, *Evolution in four dimensions. Genetic, epigenetic, behavioral and symbolic variation in the history of life*, Cambridge 2005; B. Hölldobler, E. Wilson, *The superorganism. The beauty, elegance, and strangeness of insect societies*, New York 2009.



czasu powstają dyscypliny nauki, a potem kolejne.<sup>16</sup> Wśród nich pojawiają się także dyscypliny pseudonauki. Część z nich, jak niegdyś astrologia i alchemia (a może i tarot), a obecnie towaroznawstwo, medioznawstwo i polityka publiczna, jest wyłaniana w sposób sztuczny, w efekcie zapotrzebowania politycznego, ambicji pseudouczonych, a nawet ich popisowej ignorancji. Rozwój nauki wymaga selekcji i eliminowania dyscyplin pseudonauki z listy dyscyplin uchodzących za naukowe.

Teoria ewolucji nie nadaje się do przekształcenia w doktrynę, gdyż odwołując się do niej nic nie można powiedzieć o sensie ludzkiej egzystencji i nie da się zbudować wizji porządku społecznego. Takie próby były podejmowane, ale wszystkie szybko zakończyły się fiaskiem. Ich ponowienia w przyszłości nie można wykluczyć. Jednak teoria ewolucji nie nadaje się na doktrynę tak samo, jak nie nadają się na nią teoria heliocentryczna, teoria względności i teoria wielkiego wybuchu. Natomiast sformułowanie tych teorii wywarło, ma i mieć będzie ogromny wpływ na treść doktryn religijnych i politycznych, przede wszystkim zaś na ich funkcjonowanie społeczne.

Teza o znaczeniu wielkiej teorii dla nauk społecznych dowodzi, że bezpośrednia rzeczowa debata pomiędzy obrońcą ortodoksji i rzecznikiem herezji nie była i nie będzie możliwa. Nauka potrzebuje czasu i jest przede wszystkim dialogiem międzypokoleniowym. W fabrykach punktacji ona nieuchronnie zamiera. Warto jednak zastanowić się, ile czasu wymagało zrozumienie i uznanie teorii heliocentrycznej. Przyswojenie wiedzy naukowej, także przez posłusznych profesorów, wymaga wysiłku wielu kolejnych pokoleń.

Zresztą fundamentalna wiedza, służąca czystemu poznaniu, chyba nigdy nie była i nadal nie jest tworzona na uniwersytetach. Taka wiedza jest dziełem utalentowanych pasjonatów, jak Lynn Margulis, zawsze zdolnych zmierzyć się z dyskryminacją ze strony profesorów (w tym przypadku biologii) i ze statusem heretyka. Natomiast uniwersytety były i są głównie środkiem jej przyswajania i nauczania. Często tworzą struktury organizacyjne, gdzie najchętniej kopiuje się nonsensy i służy rządzącym, albo zaspokajają własną próżność, doprowadzając do wyłonienia kolejnej pseudodyscypliny nauki i nadawania w jej zakresie doktoratów. Wtedy ich profesura bardziej przypomina hierarchię ortodoksyjnego kościoła aniżeli krąg badaczy, natomiast politolodzy na tych uczelniach zwykle są najbardziej śmiesznymi lokajami, chociaż dzisiaj powoli ustępują miejsca ekonomistom. Wynika to jednak wyłącznie z gry interesów, którą w coraz mniejszym stopniu, przynajmniej na razie, określają podmioty polityczne, partie i rządy. O jej przebiegu przesądzają dzisiaj podmioty ekonomiczne, przede wszystkim banki, fundusze inwestycyjne i różnorakie korporacje (na przykład zarządzające ubezpieczeniami i technologiami).

16 Odrębną sprawą jest dzisiaj sztuczne kreowanie dyscyplin nauki przez ambitnych ignorantów, z którym mamy do czynienia obecnie w Polsce. Jest to zjawisko patologiczne, prowadzące do destrukcji badań naukowych w procesie nadmiernej ich instytucjonalizacji i formalizacji.

Nieomal wszystkie przełomowe teorie nowożytnej nauki zostały sformułowane przez ludzi, którzy, przynajmniej kiedy je tworzyli, nie pracowali na uniwersytecie. Chyba nie było to przypadkiem.

V

Uświadomienie sobie, że polityka jest tylko jednym ze zjawisk politycznych, stanowi wstępny warunek zrozumienia statusu poznawczego dotychczas uprawianej teorii polityki. Ona się skończyła i samoistnie zanikła, ponieważ prowadzi myślenie politologów na manowce. Została zastąpiona nawet nie przez pseudoteorie, ale przez swoiste zawołania, dotyczące metafor, syndromów i badań interdyscyplinarnych. Mało kto już dzisiaj rozumie, że uprawianie nauki polega nie na powtarzaniu formułek, kopiowaniu i szermowaniu hasłami, ale na stawianiu pytań i pochyłaniu się przez pokolenia nad tymi samymi problemami.

Czy „teoria polityki” bada politykę, czy też termin ten jest wyłącznie metaforą używaną do kamuflowania ignorancji? Może warto zastanowić się nad tym problemem?

Polityka nie jest i nie może być przedmiotem poznania politologii, która należy do dyscyplin nauki i to nie jednych z wielu, często tak sztucznych, jak towaroznawstwo czy medioznawstwo. Politologia należy do dyscyplin ważniejszych od wielu innych, do grupy dyscyplin stojących wysoko w hierarchii wiedzy naukowej, ponieważ gatunek ludzki od sześciu tysięcy lat podlega mobilizacji politycznej i funkcjonuje podzielony na zjednoczenia polityczne w poliarchii. Wyjaśnienie genezy i funkcji zjawisk politycznych jest więc warunkiem zrozumienia człowieka i gatunku ludzkiego. Określa to znaczenie dyscypliny nauki.

Warto może głębiej zastanowić się, jaka wiedza jest kreowana w postaci wielu zespołów danych, które dzisiaj się wyodrębnia i bez jakiegokolwiek uzasadnienia, nadającego się nawet nie do obrony, ale tylko do dyskusji, nazywa dyscyplinami nauki. Nie tylko wiedza dostarczana przez towaroznawstwo, zarządzanie i medioznawstwo, ale także przez politykę publiczną. Czy politologia jest im podobna, jeśli chodzi o znaczenie przedmiotu, który bada? Czy może ranga jej przedmiotu poznania jest zupełnie inna? Podobna do rangi przedmiotu poznania astronomii, biologii albo socjologii? Może nie bez powodu dyscyplina określona jako „polityka publiczna” powinna kojarzyć się z „towaroznawstwem”? A może jeszcze bardziej powinna kojarzyć się z alchemią, ludzką ignorancją i szalbierstwami nieuczciwych akademików?

Chyba jednak profesorowie zatrudnieni na wydziałach pseudopolitologii, którzy zaczęli już kopiować zagraniczne wzorce „polityki publicznej”, nie dostrzegają sztuczności nazwy dyscypliny i braku jakiegokolwiek uzasadnienia dla jej wydzielenia. Być może nie zdają sobie sprawy z tego, że istnieją nie tylko dyscypliny na-

uki, ale także pseudodyscypliny, które są produktem wyjątkowo skrajnej ignorancji w okresach kryzysu uniwersytetu. Bywają też one wytworem politycznej uległości i bardzo prymitywnego karierowiczostwa. Dzisiaj, obserwując nabór kandydatów na politykę publiczną, widać, że maturzyści lepiej rozumieją świat aniżeli uniwersyteccy profesorowie, którzy mają ich uczyć i którzy zaproponowali im pseudostudia.

Nie da się zrozumieć podstawowych zjawisk związanych z istnieniem gatunku ludzkiego na Ziemi, w tym szczególnie ewolucji człowieka współczesnego, bez wyjaśnienia zjawisk politycznych, które są przedmiotem poznania politologii. Nie jest natomiast do tego potrzebna wiedza z zarządzania, towaroznawstwa, medioznawstwa i polityki publicznej. Problematyka politycznego ukształtowania i funkcjonowania gatunku ludzkiego w procesie ewolucji społecznej, czyli w procesie dostosowania łącznego, określa znaczenie politologii, a nie refleksja nad polityką, bardzo bliska myśleniu potocznemu lub nawet z nim tożsama. Nauka o polityce i teoria polityki są próbami sprowadzenia politologii do rangi dyscyplin podobnych towaroznawstwu, zarządzaniu, medioznawstwu i polityce publicznej. Na to nie powinno być zgody ze strony doktorów, którzy tym różnią się od pozostałych, że nie tylko piszą sobie przed nazwiskiem stopień, ale rozumieją też, czym zajmuje się ich dyscyplina nauki. Większość doktorów nauk o polityce niestety nie tylko tego nie rozumie. Ten problem ich w ogóle nie interesuje.

Nie można twierdzić, że politologia bada politykę już tylko dlatego, ponieważ jest to ujęcie potoczne, na gruncie którego nie uzyska się odpowiedzi na podstawowe, dawno sformułowane pytania. Taka teza niczego istotnego nie wyjaśnia. Gdy na dodatek nie określa się tego, co jest polityką, gdy coraz więcej zjawisk prezentuje się jako politykę, prowadzi to do przeświadczenia, że wszystko jest polityką i politologia bada każde zjawisko, na przykład samorządy, stosunki przemysłowe, ruch drogowy i kolejowy, zjawiska urbanistyczne, położenie kobiet w XX w. i media. Z takich tematów przyznano w ostatnich latach wiele doktoratów w zakresie tzw. „nauk o polityce”. Zjawisko to jest jednym z symptomów upadku uniwersytetu przekształconego w powielarnię.

Nie tylko w mediach, ale także w tekstach profesorów uniwersyteckich wydziałów pseudopolitologii upowszechnia się potoczne rozumienie polityki. Często skrajnie naiwne. Bezkrytyczne powielanie bez zrozumienia nie zna tu granic. Dlatego, jak za czasów Maxa Webera, krytykującego niefrasobliwość w określaniu, czym jest polityka, nadal mówi się o „polityce stopy procentowej”, „polityce miejskiej”, „polityce prezesa firmy” czy „polityce mądrej żony”. Pojawiły się jedynie nowe użycia słowa „polityka”, których intencja jest taka sama jak tych stosowanych od stu czy dwustu lat. Wyliczmy przynajmniej niektóre spotykane obecnie w literaturze, gazetach i innych mediach możliwe użycia terminu polityka, przede wszystkim uwzględniając najbardziej zabawne i pouczające spośród nich:

- polityka firmy (w zasadzie każde działanie przedsiębiorstwa małego i dużego – zwykle jak nie wiadomo co odpowiedzieć na pytanie kontrahenta lub klienta niezadowolonego z obsługi, mówi się „polityka firmy” lub „taka jest polityka firmy”);
- polityka klienta (zasady postępowania wobec klienta firmy);
- polityka kredytowa (czyli zasady udzielania kredytów i postępowanie wobec kredytobiorców wedle tych wytycznych);
- polityka inwestycyjna (zasady nabywania i zbywania instrumentów funduszu inwestycyjnego);
- polityka cen (zasady kształtowania cen produktów w zależności od sytuacji na rynku);
- polityka mieszkaniowa (plan rozwoju budownictwa mieszkaniowego wraz z jego realizacją);
- polityka radarowa (zasady rozmieszczania aparatów fotografujących pojazdy i procedura wystawiania mandatów kierowcom na podstawie zdjęć wykonanych przez automaty);
- polityka poufności (zasady działań mających za zadanie ochronę danych osobowych zgodnie z ustawą);
- polityka jakości (plan kontroli dokładności produkcji w firmie, a nawet jej działania);
- polityka innowacyjności (plan wprowadzania nowych rozwiązań w firmie wraz z jego realizacją);
- polityka urlopowa (zasady przydzielania urlopów wraz z planem urlopów w firmie);
- polityka rachunkowości (zasady rachunkowości i ich wdrażanie)
- polityka dezaktywacji kart SIM (zasady usuwania nieużywanych przez klientów kart telefonicznych wraz z ich realizacją);
- polityka quickies (zasady plasowania plików na komputerach użytkowników, modyfikujące działanie zamontowanego na nich oprogramowania)
- polityka aktualizacji oprogramowania w smartfonach (zasady udostępniania nowego oprogramowania właścicielom starszych modeli smartfonów wraz z ich realizacją).

Czy to są może przejawy „polityki publicznej” albo „polityki publiczne”? Czy ta problematyka powinna być przedmiotem poznania dyscypliny nauki, czy może mamy tu do czynienia z kopiowaniem terminologii z języka potocznego do pseudonauki uprawianej na uczelniach, które obecnie są uniwersytetami już tylko z nazwy?

Kopiując sformułowania z języka potocznego, można pisać, w ramach symulowania działalności naukowej, o dowolnych politykach, publicznych i prywatnych. Może już nie o polityce inseminacji krów (o ile dobrze pamiętam tak określano planową działalność prowadzoną w okresie PRL pod nadzorem Komitetu Centralnego PZPR – czy była to polityka publiczna?), ale o polityce ogłupiania młodzieży w szkole (długofalowa i konsekwentna polityka naszych rządów od 1989 r., bezpośrednio realizowana jednak nie przez polityków tylko ich służących, dobieranych na zasadzie układów towarzyskich i braku kompetencji), produkcji i dystrybucji mleka, wyprzedawania banków, niszczenia przedsiębiorstw, zamykania cukrowni, traktowania maluchów w przedszkolu czy wreszcie o polityce trzymania teściowej na odległość.

Jeśli ktoś uzna proponowane polityki za żart, można wymienić bardziej „poważne” „polityki publiczne”: politykę rządu wobec kiboli i politykę samych kiboli w stosunku do rządu („Tusku matole, twój rząd obalą kibole” – prymitywna wizja polityczna?), politykę rządu wobec górników i górników w stosunku do rządu, a także politykę rządu i partii politycznych wobec samorządów, emerytów i biskupów. Zresztą ci biskupi też prowadzą „politykę publiczną”, a może nawet zespół „polityk publicznych” wobec państwa, wiernych, feministek, homoseksualistów i pedofili we własnych szeregach. Trudno mówić o polityce samorządów, ale w warunkach postępującej dezorientacji profesorów uznających się za „politologów” w ich pracach znajdzie się także tego rodzaju sformułowania, ponieważ brak im zdolności rozróżnienia pomiędzy podmiotami politycznymi i pozbawionymi tego statusu.

„Politolodzy” nie tylko stali się niezdolni do dokonywania elementarnych rozróżnień, ale tę swoją ułomność ogłosili cnotą. Pociąga to za sobą wielkie skutki dla funkcjonowania dyscypliny nauki. Powoduje, że przestaje ona istnieć.

Dysponujemy niezliczoną ilością dowodów wskazujących, że profesorowie uniwersyteckich wydziałów pseudopolitologii nie podejmują jakiegokolwiek krytycznej refleksji nad własnym językiem. Z lubością kopiują język mediów i za pomocą tego nonsensownego instrumentu indoktrynują swoich studentów. Tym samym językiem pisane są prace pozwalające ich uczniom (czy „wydrukowanym” przez nich „ideokopiarkom”?) uzyskać doktoraty. Znaczna, a może nawet przeważająca część dorobku uniwersyteckich wydziałów pseudopolitologii z ostatniej dekady składa się z publikacji napisanych językiem potocznym na bazie informacji zaczerpniętej z mediów, czyli wiedzy faktycznie jedynie powielonej. Na tej wiedzy opiera się cały „marketing polityczny”, obecnie najbardziej popularny dział pseudopolitologii.

Zdaje się, że na uniwersyteckich wydziałach pseudopolitologii, gdzie refleksja teoretyczna wygasła wskutek zaniku teorii, nieomal nikt nie zauważa, iż polityka nie jest podstawowym zjawiskiem politycznym, ale ma charakter wtórny, ponieważ jest efektem specyficznej społecznej aktywności przedstawicieli gatunku ludzkiego. Politologia jako nauka bada zjawiska społeczne związane ze szczególnym grupowa-

niem ludzi w przestrzeni i czasie, którego skutkiem jest między innymi działalność określana jako polityka. Zjawiska odmienne aniżeli związane z funkcjonowaniem miast, samorządem lokalnym, z ruchem drogowym i kolejowym, emancypacyjnymi ambicjami kobiet, walką o prawa homoseksualistów i funkcjonowaniem mediów.

Wiedza nazywana „naukami o polityce” czy „nauką o polityce”, coraz częściej określana intuicyjnie jako „politologia”, jest przykładem modelowego upadku nauki, której reprezentanci tracą zdolność refleksji nad jej statusem i własną tożsamością. Zarzucenie problemu przedmiotu poznania jako podstawowego zagadnienia dyscypliny nauki i przyjęcie tezy, że politologia jest „dyscypliną interdyscyplinarną”, doprowadziło do sytuacji, w której nie wiadomo, kto jest politologiem i co powinien badać. W rezultacie tego „politologiem” może stać się każdy swoją jednostronną deklaracją, a przedmiotem pracy na stopień dowolny temat, który zostanie zaproponowany przez przypadkową osobę. Tak właśnie wygląda praktyczna działalność uniwersyteckich wydziałów pseudopolitologii w Polsce.

Trzyletnie studia licencjackie, dwuletnie studia magisterskie i czteroletnie studia doktoranckie (dziewięć lat indoktrynacji i ćwiczeń z jedynej znanej metody, czyli kopiowania, głównie wiedzy potocznej lub wiedzy wobec niej nieodległej!!!) w zakresie pseudopolitologii nie prowadzą nie tylko do wykształcenia absolwentów zdolnych dysponować świadomością, kim są i czym się zajmują. Te studia produkują ignorantów tragicznie wyćwiczonych co najwyżej w deklamowaniu formułek, nierzadko pozbawionych sensu, niezdolnych pojąć, czym jest wykształcenie, zagubionych, bez środków do rywalizacji z absolwentami socjologii, historii, prawa i innych kierunków studiów, którzy, także bardziej wyszkoleni aniżeli wykształceni, jednak bez trudu przejmują dominujące pozycje na uniwersyteckich wydziałach politologii i wychowują kolejną generację zdeorientowanych pseudopolitologów. Ci ignoranci znakomicie nadają się tylko do niewolniczej pracy w korporacjach, montowniach i innych sformalizowanych strukturach, gdzie nikt nie wymaga wiedzy, myślenia, tym bardziej zaś tępienie są skłonności do innowacji. Na wydziałach pseudopolitologii znakomicie wyćwiczono absolwentów w posłuszeństwie i poddaństwie, lizusostwie i lokajstwie, dlatego wśród nich nie ma wielkiego bezrobocia. Czy jednak o to powinno chodzić na uniwersytecie?

Absolwenci pseudopolitologii, w szczególności doktorzy nauk o polityce, nie tylko są zdeorientowani. Oni gardzą tym, co robią. Na studia doktoranckie przyszli często dlatego, że nie mieli żadnego poważnego zajęcia, a poziom wymagań był skrajnie niski. Dlatego, poza zupełnie nielicznymi przypadkami, nie zastanawiają się nad przedmiotem swoich badań, rangą swojej wiedzy i własnym miejscem na uniwersytecie oraz w społeczeństwie. Przedmiotem pracy doktorskiej uczynili dowolny temat, nie zdając sobie sprawy, że dyscypliny nauki posiadają specyficz-

ne przedmioty poznania i nie może istnieć „dyscyplina interdyscyplinarna”. Wyjątki nie określają głównego trendu zmian.

Nikt nie zastanawia się, dlaczego studia licencjackie i magisterskie kształcą „politologów”, a doktoranci ubiegają się o stopień z zakresu „nauk o polityce”? Jakie to może mieć znaczenie dla profesorów „dyscypliny interdyscyplinarnej”, niezdolnych do wypowiedzi o własnym przedmiocie poznania i tożsamości politologa?

Uniwersyteckie wydziały pseudopolitologii są modelowym przykładem destrukcji nauki, która niegdyś zaczęła się rozwijać i na wyrost otrzymała status dyscypliny nauki. Deklarujący się jako „politolodzy” nie musieli o nią walczyć. Swoją status uzyskali z politycznego nadania, którego nie byli w stanie utrzymać w warunkach demokracji. Ostatnia generacja nieodpowiedzialnych profesorów, działających zgodnie z wyartykułowaną przez siebie doktryną „dyscypliny interdyscyplinarnej”, całkowicie zrujnowała zaczątki politologii stworzone w PRL. Do tego stopnia, że dzisiaj ludzie z doktoratami z „nauk o polityce”, także ze stopniem doktora habilitowanego, stali się symbolami zarówno ignorancji, jak i życiowej porażki. Gdy nie wiedzą, kim są, czym się zajmują i po co istnieją. Gdy nie są w stanie sformułować problemu badawczego i symulują badania dowolnego tematu, bez jakiegokolwiek refleksji nad jego związkiem z przedmiotem poznania politologii i bez świadomości, że faktycznie podjęli czynności charakterystyczne dla ideokopiarki.

Teza, iż politologia jest „dyscypliną interdyscyplinarną”, nie powstała przypadkowo. Z jednej strony jest niezamierzonym, ale logicznym skutkiem przyjęcia założenia, że ta dyscyplina ma charakter indukcyjny i integruje wyniki badań dyscyplin od niej starszych,<sup>17</sup> a doktoraty politologiczne uzyskuje się w zakresie „nauk o polityce”. Wedle naiwnego przekonania „nauki o polityce” z samej swej istoty są przeciwieństwem „zbiorem dyscyplin naukowych”. Z drugiej strony dyrektywę „dyscypliny interdyscyplinarnej” realizowano i nadal realizuje się w praktyce na wydziałach prowadzących studia nazywane „politologicznymi”, w które włącza się każdą problematykę, jeśli tylko wpadnie w oko profesorowi akurat zatrudnionemu na takim wydziale, albo pojawi się kandydat do doktoratu z rozprawą, której gdzie indziej nie da się „przepchnąć”. Nawet jeśli o politologii nie ma on żadnego pojęcia. Wskutek tego „bada” się także dowolne zjawiska społeczne na poziomie refleksji potocznej, nie zauważając procesu przekształcania politologii w potoczną wiedzę o społeczeństwie. Tym wszystkim kierują profesorowie, którzy nigdy nie studiowali politologii, nic nie wiedzą o jej dorobku i przedmiocie poznania, natomiast odczuwają swoją wyższość wobec nieudolnych „politologów”.

Dzisiaj chciałoby się powiedzieć, za niektórymi kolegami, że teza o politologii rozumianej jako „dyscyplina interdyscyplinarna” to „efekt niedojrzałości teoretycznej młodej dyscypliny i ten etap uniwersyteckie wydziały politologii mają już

17 B. Krauz-Mozer, *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce*, Kraków 1992, s. 5–8.

za sobą”. Byłoby tak, gdyby twórcy fatalnej formuły „interdyscyplinarnej dyscypliny nauki” poddali ją krytyce albo przynajmniej z godnością zamilkli. Jednak oni postąpili odwrotnie: podjęli próbę obrony własnej pseudonauki i to nie przy pomocy nowych dowodów w sprawie, ale powtarzając stare, destrukcyjne dla dyscypliny frazesy. Uparcie podtrzymują anachroniczne wydanie politologii w wersji powielaczowej, służącej kształceniu niewolników i marionetek dla potrzeb współczesnego systemu neokolonialnego, który tak znakomicie dzisiaj rozwija się w Polsce.

Pierwszy wystąpił Mirosław Karwat, który dotychczas nie wykazał się nawet elementarną znajomością teorii tego, co polityczne<sup>18</sup> i nie rozliczył się ze swojego najnowszego „dorobku naukowego” w zakresie bezpieczeństwa i higieny pracy w polityce (problem wcześniejszego „dorobku” pomijam). Jediną jego odpowiedzią na „Podstawowy dylemat politologii” jest tekst po raz kolejny ignorujący teorię tego, co polityczne, poświęcony wyśmiewaniu autora i też książki.<sup>19</sup> Jakby uważał, że taki tekst może mieć znaczenie dla rozwoju nauki? Jakby uważał, że czasy WUML-a się nie skończyły i praktyki stosowane na zebraniach partyjnych nadal mogą przynieść sukces na uniwersytecie? Zwłaszcza gdy jest to Uniwersytet Warszawski, gdzie krytyka naukowa nie istnieje.

Przede wszystkim jednak Karwat chciałby unieważnić proste pytanie: co wyjaśniają i jak wpływają na stan wiedzy politologicznej książki, które napisali teoretycy polityki III Rzeczypospolitej? W jakim zakresie Karwat i inni pracownicy zakładów teorii polityki odpowiadają za pojawienie się i dominację na wydziałach politologii doktryny „dyscypliny interdyscyplinarnej”? To pytanie pozostaje aktualne. Podobnie jak pytanie o intelektualne źródła upadku uniwersyteckich wydziałów politologii? Czy główną rolę odegrali w tym procesie teoretycy polityki III Rzeczypospolitej, czy może autorem naukowej destrukcji tych placówek był ktoś inny? Kto?

Odpowiedź na te pytania ma kluczowe znaczenie dla dalszego losu uniwersyteckich wydziałów współczesnej pseudopolitologii i statusu uprawianej na nich dyscypliny nauki. Warto o tym pamiętać.

Tadeusz Klementewicz w nowej, nieprzemyślanej, napisanej w pośpiechu książce (w której powtarza wszystkie wytknięte mu błędy zawarte w tomie „Rozumienie polityki”) zbudował swoją argumentację w obronie doktryny „dyscypliny interdyscyplinarnej” na przeciwstawieniu rzekomo interdyscyplinarnej (a faktycznie rozumianej potocznie) idei jedności nauk społecznych temu, co nazywa „dyscyplinową autarkią”.<sup>20</sup> Jakby nie dostrzegając, że nikt nie głosi postulatu zamykania czy izolowania dyscyplin. Jakby nie widząc, że krytycy reprezentowanej przez niego

18 Ciekawe, dlaczego M. Karwat wystąpił z krytyką mojej skromnej osoby, a nie teorii tego, co polityczne? Czy dlatego, że nie rozumie jej podstaw i nie zna elementarnej literatury z zakresu politologii, zdolny jedynie kopiować wiedzę, którą opanował w czasach aktywności na WUML-u?

19 M. Karwat, O książce Ryszarda Skarżyńskiego pt. Podstawowy dylemat politologii, „e-Politikon” 2012, nr 4, s. 5–41.

20 T. Klementewicz, Geopolityka..., *op. cit.*, s. 22–24.



pseudointerdyscyplinarności postulują jak najszersze wykorzystywanie wiedzy z różnych dyscyplin nauki i rozwijanie teorii badań interdyscyplinarnych.

Równocześnie Klementewicz pomija problem, czym jest dyscyplina nauki, jaka rola przypada jej naukom pomocniczym, przede wszystkim zaś lekceważy ten fundamentalny fakt, że nadal nie istnieje jakakolwiek teoria badań interdyscyplinarnych, tym bardziej nadająca się do poważnej dyskusji. On sam też jej nie sformułował. Badania interdyscyplinarne w polskiej politologii nie istnieją. Nazywa się nimi powierzchowne dywagacje na dowolny temat, oparte na wiedzy potocznej, opisowej i kopiowanej bez zahamowań. Takie, do jakich zdolni są przede wszystkim pseudopolitolodzy z racji cechującej ich ignorancji i stosowania przez nich jedynej dostępnej im metody: kopiowania potocznej wiedzy z mediów.

W ten sposób Klementewicz powiela stare tezy<sup>21</sup> i za wszelką cenę próbuje bronić doktryny nauki o polityce jako „dyscypliny interdyscyplinarnej”. Na tym tle idea „wyjaśniania wieloczynnikowego”<sup>22</sup> to już tylko przejaw utrwalonej skłonności do kopiowania marksizmu i dowód nieodwracalnego poddania się myśleniu potocznemu, które szczególnie razi w czasach, gdy udowodniono, że zjawiska społeczne są efektem interakcji zachodzących pomiędzy niektórymi konfiguracjami kodu genetycznego i środowiskiem przyrodniczym. Nie tylko determinizm genetyczny nie ma sensu jako szczególna forma redukcjonizmu. Idea „wyjaśniania wieloczynnikowego” jest nieudolną kopią niektórych założeń marksistowskiej doktryny rozwoju społecznego i wiedzy zbudowanej na lekturze popularnych prac dziennikarzy. Ma taką samą wartość jak propagowane przez Klementewicza i jego kolegów w innych pracach wyjaśnianie syndromatyczne czy metaforyczne. Nie rozumie się, że takie wyjaśnianie we współczesnej nauce nie istnieje, a jego promowanie jest jedynie dowodem ignorancji i przejawem pseudonauki.

Zresztą cała nowa książka Klementewicza jest wyłącznie kompilacją opartą (nie na lekturach oryginalnych publikacji, których przywołuje jedynie dane bibliograficzne, tracąc z oczu obecne w nich ważne tezy) przede wszystkim na dostępnych w prasie i w internecie tekstach popularnych, streszczeniach i spisach treści. Tylko w ten sposób autor (który był, jest i pozostanie dogmatycznym marksistą) mógł pominąć kwestię zależności zachodzących pomiędzy kodem genetycznym i zjawiskami społecznymi, w tym politycznymi, koncentrując się na opisie zewnętrznych objawów ewolucji społecznej. Zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że dzisiaj takie wyjaśnianie nie ma żadnej wartości. Nie zdaje sobie również sprawy, że marksizm się skończył.

21 Ostatnie teksty Klementewicza faktycznie są autoplajiatami. Modelowym autoplajiatem jest artykuł Politologia jako wieloparadygmaticzna struktura wiedzy („e-Politykon” 2013, nr 5, s. 164–198), złożony z fragmentów wcześniej publikowanych prac.

22 T. Klementewicz, Geopolityka..., *op. cit.*, s. 25.

Na tym tle mało znaczącym faktem jest poświęcenie interdyscyplinarności całego tomu przez profesorów zajmujących się internacjologią.<sup>23</sup> Już tylko dlatego, że swoją aktywność, uważaną wyłącznie przez nich samych za naukę, sprowadzili do kopiowania doktryn, najpierw radzieckiego komunizmu, potem amerykańskiego pomysłu na świat jednobiegunowy, a obecnie geoeconomii. Kopiowanie też innych to trwale przyzwyczajenie większości polskich badaczy stosunków międzynarodowych, wpojone już młodemu pokoleniu doktorów. Uparte trwanie przy doktrynie „dyscypliny interdyscyplinarnej” jest tylko wyrazem wierności wobec dawno przyswojonych dogmatów, gdy nowe teorie burzą zastany porządek i mobilizują wyłącznie do powtarzania uznanych formułek. Dla świętego spokoju.

Jeśli wydziały „politologii” dalej będą szły tą drogą, utrwalały status największych akademickich powielarni i dokonają ostatecznego intelektualnego samobójstwa.

Nie dojdzie do zainicjowania prób odnowienia politologii bez rozliczenia się z problemem jej rzekomego statusu „dyscypliny interdyscyplinarnej”. Po cichu się tego nie załatwi, szczególnie bez zbadania genezy i znaczenia pomysłu, że politologia jest już dyscypliną bardziej zaawansowaną aniżeli inne (za którą nie nadążają badacze „z innych dyscyplin, nie tylko tych starszych”<sup>24</sup>).

## VI

Czy potrzebna jest politologia jako dyscyplina nauki? Zdecydowanej większości profesorów wydziałów nadających doktoraty z „nauk o polityce” tak postawione pytanie jest obce, ponieważ oni w ogóle go nie rozumieją.

Większość profesorów zatrudnionych na tych wydziałach nie ma wykształcenia politologicznego i jakiegokolwiek pojęcia, czym jest ta dyscyplina nauki. Z kolei doktorzy nauk o polityce widzą w swojej dyscyplinie nauki „dyscyplinę interdyscyplinarną”. Mamy więc do czynienia z dziwną sytuacją: nieświadomionej zgody wykładowców na uznanie prezentowanej przez siebie wiedzy za pseudonaukę.

Może problem politologii jako nieprzypadkowej dyscypliny współczesnej nauki nie powinien być jednak obcy przynajmniej nielicznym doktorom nauk o polityce, mającym chociaż szczątkowe poczucie godności i świadomym, że odpowiedź na to pytanie ma fundamentalne znaczenie dla udzielenia odpowiedzi na inne pytanie, które dzisiaj już coraz bardziej się narzuca: co wart jest ich stopień naukowy?

Jeśli politologia jako dyscyplina nauki jest zbędna lub nawet nie ma znaczenia, jeśli jest „dyscypliną interdyscyplinarną”, to ich doktorat jest bezwartościowy, a oni sami zmarnowali cenne lata młodości na pisanie tekstu, nadającego się tylko do zamknięcia w archiwum. Ich doktorat może liczyć się jedynie wtedy, gdy rozumie-

23 A. Gałganek, E. Halizak, M. Pietraś (red.), *Wielo- i interdyscyplinarność nauki o stosunkach międzynarodowych*, Warszawa 2012.

24 M. Karwat, *Metodologiczne przewartościowania politologów*, „Studia Nauk Politycznych” 2004, nr 1, s. 9.

ją znaczenie wiedzy politologicznej, przede wszystkim jej przydatność w procesach wyjaśniania rzeczywistości społecznej i umieją się nią posługiwać. Tego nie zastąpi żadna rzetelność podczas prowadzenia badań empirycznych, nie zastąpi nawet najgłębsza znajomość metody.

Rozumienie przedmiotu poznania własnej dyscypliny nauki i w ogóle znaczenia jego badania to kwestia fundamentalna w pracy każdego uczonego. Tak samo fizyka, chemika, matematyka, astronomia i prawnik, nawet jeśli nie potrzebują o swoim przedmiocie poznania debatować, jak musi to czynić politolog, by wiedzieć, co bada i po co istnieje jego dyscyplina nauki.

## VII

Gdy próbujemy dokonać aktualnej oceny dorobku teoretyków polityki III Rzeczypospolitej i doktorów „ nauk o polityce ”, najbardziej porusza ich brak zdolności dostrzeżenia kwestii podstawowych.

Odnosząc się do problemu monizmu i pluralizmu w politologii Jan Woleński w 1975 r. określił swoje stanowisko nie tylko trafnie, ale całkowicie jednoznacznie i skrajnie jasno: „W kwestii przedmiotu badań – jest to stanowisko monistyczne traktujące politologię jako sumę wiedzy opisowej i teoretycznej na temat zjawisk politycznych. Natomiast jest to pluralizm, jeśli chodzi o wiedzę teoretyczną, jako że możliwe i nawet wysoce prawdopodobne jest istnienie szeregu teorii zjawisk politycznych w obrębie przedmiotowo wyróżnionej nauki o polityce”.<sup>25</sup>

Czyli teorie należy formułować nie w odniesieniu do dowolnych zjawisk, problemów czy tematów, ale „**w obrębie przedmiotowo wyróżnionej**” dyscypliny nauki. Przedmiotem teorii politologicznych mogą być tylko zjawiska polityczne. Wszystkie inne teorie nie są teoriami politologicznymi i wprawdzie mogą zostać wykorzystane w politologii, ale tylko w charakterze teorii pomocniczych. Jeśli odwołanie się do nich przyczynia się do lepszego wyjaśnienia zjawisk politycznych.

O pluralizmie teorii dyscypliny nauki możemy mówić wyłącznie w odniesieniu do jej przedmiotu poznania, czyli dopiero wówczas, gdy udzielono odpowiedzi na pytanie o to, co ta dyscyplina bada. Tego teoretycy polityki III Rzeczypospolitej nie byli w stanie nie tylko zrozumieć, ale nawet dostrzec i uczynić obiektem sporu. Takie postawienie problemu przerosło ich możliwości intelektualne. Dlatego debata stała się ostatnią czynnością, którą zdolni byliby podjąć i ograniczyli się do egegezy doktryn. Przede wszystkim do powielania:

- doktryny interdyscyplinarności
- doktryny metafor
- doktryny zjawisk syndromatycznych

25 J. Woleński, Spór o status metodologiczny nauki o polityce, [w:] K. Opalek (red.), Metodologiczne i teoretyczne problemy nauk politycznych, Warszawa 1975, s. 57 (w niniejszym tomie s. 65).

– doktryny teorii stosunków międzynarodowych.

W tle operowali między innymi doktrynami geopolityki, teologii politycznej, biopolityki, racjonalnego wyboru, równowagi sił i feminizmu, z uporem godnym lepszej sprawy ignorując rzeczywiste problemy dyscypliny nauki.

Ostatecznie pluralizm, nie w obrębie przedmiotowo wyróżnionej politologii, ale w ramach potocznie rozumianej nauki o polityce, pseudopolitologów zastąpili hasłem „dyscypliny interdyscyplinarnej” (głosząc, że nauka o polityce bada politykę), która w praktyce „bada”, co przyjdzie profesorom albo kandydatom na doktorów „nauk o polityce” do głowy. Pominęli elementarną wskazówkę Woleńskiego, za teorie politologiczne uznając wszelkie możliwe twierdzenia, naukowe i pseudonaukowe, co spowodowało, że „politologami” ogłaszali i ogłaszają się ignoranci odrzuceni w wielu dyscyplinach nauki, poszukujący ścieżki łatwej kariery. Nie ma dla nich żadnego znaczenia fakt, iż politologia jako dyscyplina nauki, zamiast dojrzewać, podlegała destrukcji. Oni nie byli, nie są i nie będą politologami. Pozostawili po sobie jedynie pseudonaukę.

Dzisiaj ci ignoranci, wyposażeni w habilitacje z „nauk o polityce”, uciekają dalej (jak niegdyś uciekli z wydziałów prawa, historii itd.) i jak na ignorantów przystało, ogłaszają nowe dyscypliny pseudonauki, „medioznawstwo” i „politykę publiczną”, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, że tymi czynnościami publicznie demonstrowują brak elementarnej wiedzy z zakresu naukoznawstwa i w ogóle nauk społecznych.

Dzisiaj wykształceni nie na tekstach Woleńskiego, ale na tekstach pseudopolitologów doktorzy „nauk o polityce” nie tylko nie rozumieją, czym jest nauka, dyscyplina nauki i w szczególności czym jest politologia. Jest im zupełnie obojętne, co głoszą, jaki mają doktorat i co ten jest wart. Prawdopodobnie w ogóle nie dysponują zdolnością zrozumienia podstawowych problemów metodologicznych politologii, które blisko pół wieku temu tak jasno i precyzyjnie przedstawił Woleński.

Doktorom „nauk o polityce” nigdy nie wpojono, że nauka nie polega na produkcji publikacji, na załatwianiu sobie stopni i stanowisk na uniwersytecie. Nie nauczono ich, że nauka nie jest środkiem łatwej kariery, ale może istnieć tylko wtedy, gdy buduje się ją na gruncie najbardziej zaawansowanej metodologii i dzięki temu dostarcza ona wiedzy wyjaśniającej rzeczywistość. W każdym innym przypadku w końcu zawsze staje się zbyteczna. Jak zbyteczna stała się pseudopolitologia i jak niepotrzebni są teraz głoszący nonsensy doktorzy „nauk o polityce”, którzy uniwersytet przekształcili w kabaret działający na podobieństwo WUML-a.

Dzisiaj stopień doktora „nauk o polityce” znaczy tylko tyle, że posługujący się nim są ignorantami w sprawach podstawowych. Nie tylko nie wiedzą, co badają i nie mają pojęcia, kim są. Brak im także elementarnej godności, którą uczony w każdych warunkach buduje na uczciwości, określającej proces poznania i udział w debacie naukowej.